

Ks. Janusz Królikowski

PASZKWIL ARTURA SPORNIKA NA TEMAT TEOLOGII

Teologia na niby w „Tygodniku Powszechnym” (19–25 czerwca 2024 r.) to nie pierwszy artykuł Artura Spornika na temat teologii w Polsce. Na polemiki z tego typu wystąpieniami właściwie szkoda czasu, ale niekiedy są one konieczne, by nie spotkać się z konstatacją: *Qui tacet consentire videtur* – „Milczenie uważa się za oznakę zgody”. Kilka poruszonych w przywołanym artykule spraw domaga się więc reakcji.

Spornik opisuje kilka prowokacji, których dopuścił się prof. Konrad Szaciłowski, chemik z AGH, wysyłając „fikcyjne” artykuły do rozmaitych czasopism, w tym teologicznych – prowokujące zmyślonymi tematami i dziwnymi współautorami, pochodzącymi z zagranicy. Niestety, niektóre czasopisma dały się zwieść! Prof. Szaciłowski zaznacza, że nie tylko czasopisma teologiczne „były na jego celowniku”. Jednak Spornik w swojej wypowiedzi zajął się tylko „teologicznymi”. Rad bym wiedzieć, co wynika z prowokacji prof. Szaciłowskiego w innych czasopismach.

Parę lat temu, stając wobec potrzeby wypowiedzenia się na podobny temat, również dopuściłem się kilku podobnych prowokacji, nie tylko w czasopismach teologicznych. Polegały one na tym, że tłumaczyłem artykuły wybitnych uczonych, w tym także dwóch noblistów, np. ekonomistów, politologów, teologów, biblistów, proponując ich publikację „prestiżowym” czasopismom. Wówczas system recenzyjny był w powijakach i za recenzje nie płacono, więc nie narażałem redakcji na ponoszenie jakichś kosztów, poza podjęciem stosownych konsultacji. Kilka artykułów zakwalifikowano do publikacji po uwzględnieniu sugerowanych uzupełnień, kilka z niezwykle zapalem odrzucono. Najbardziej zdumiało mnie, że pewnego razu autorowi słownika hebrajskiego, tłumaczowi całego Starego Testamentu na jego język ojczysty, mającemu mocne korzenie żydowskie, recenzent zarzucił liczne braki w znajomości hebrajskiego i jego artykuł z hukiem odrzucił jako nienadający się do publikacji (nawiasem, artykuł został przetłumaczony przynajmniej na pięć języków).

Od tamtego czasu recenzje w czasopismach traktuję z przymrużeniem oka.

Ostatnio recenzent artykułu przypisał mi poglądy Teofila z Antiochii na temat Platona, zarzucając, że nie mam pojęcia o jego idealizmie, a z przesłanego artykułu w jego ocenie broniło się tylko streszczenie. Przyjąłem to spokojnie do wiadomości. Nie o mnie tu jednak chodzi.

Odnosnie do wspomnianej prowokacji prof. Szaciłowskiego mam jednak poważny dylemat etyczny. Nie chodzi mi o same prowokacje, ponieważ są dopuszczalne. Czy należało jednak dopuszczać do publikacji „fikcyjnych” artykułów? Czy nie wystarczyło zwrócić uwagę odnośnym redakcjom, by lepiej weryfikowały to, co jest im podsyłane? Nie miałyby to najmniejszego wpływu na ogólne wnioski, które z prowokacji wynikają. Sprawa jest tym poważniejsza, że nie zostały udostępnione wszystkie wyniki prowokacji.

System punktowy w ocenianiu uczonych, wprowadzony w szkolnictwie wyższym, do którego odnosi się Sporniak, jest nie tylko wadliwy, ale jest po prostu korupcjogenny. W Stanach Zjednoczonych, skąd go skopiowano, już od dłuższego czasu demaskuje się rozmaite bardzo poważne nadużycia w tej materii. System punktacji połączony z liczbą cytowań zawodzi, bo za nimi idą grube miliony dolarów. Gdzie są możliwe jakieś korzyści, tam zawsze – wcześniej lub później – pojawi się korupcja. To samo jest już w Polsce, gdzie pracownik uczelni musi wypracować taką czy inną liczbę punktów za publikacje, bo od tego zależy choćby jego zatrudnienie. Niestety, zły klimat wszedł także do czasopism teologicznych, co nie jest bynajmniej winą pracowników wydziałów teologicznych.

Na temat listy czasopism już się wypowiadałem, więc tylko odsyłam do dostępnej on-line mojej oceny tego wątpliwej wartości zjawiska (*Słowo dziekana Wydziału Teologicznego Sekcja w Tarnowie w czasie inauguracji nowego roku akademickiego 1 października 2019 roku*, „Tarnowskie Studia Teologiczne” 39 [2020] 1, s. 41–46). W tym miejscu zaznaczę jedynie, że ministerstwo przez zatwierdzoną listę dokonało nieuprawnionej ingerencji w samą naturę teologii, a u teologów wywołało rozmaite dylematy, łącznie z pytaniem, czy w ogóle można z tą listą jakoś się identyfikować. Na liście prawie pięciuset czasopism wskazanych teologom, w których mogą publikować punktowane prace, najwyżej co czwarte lub piąte ma charakter teologiczny. Jak przystało na czasy wolnego rynku ideologii, w którym żyjemy, najwyżej są oczywiście cenione i punktowane czasopisma z kręgu *gender studies*, byle nie wypowiadać się krytycznie o tej ułomnej naukowo dziedzinie badań.

Teologia i to wszystko też przetrwa, choć nie wiadomo, czy będzie możliwe jej trwanie w aktualnym statusie akademickim. Biorąc pod uwagę atak na religię w szkole, nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości („wpływowy” Borys Budka już wypowiadał się kiedyś na ten temat), że następnym etapem będzie likwidacja wydziałów teologicznych na uczelniach państwowych.

Bardziej zasadnicza sprawa dotyczy jednak całości systemu oceny publikacji. Pod naciskiem reformy, gdy patrzemy na czasopisma naukowe, nie tylko teologiczne, zauważamy, że pod hasłem tzw. umiędzynarodowienia pojawiły się na ich stronach redakcyjnych mocno rozbudowane międzynarodowe „komitety” i „rady” naukowe. Mam pytanie: ile razy spotkały się one realnie i na poważnie, aby omawiać to, co dotyczy takiego czy innego czasopisma, a tym samym mieć wpływ na jego profil, jakość, na stymulowanie rozwoju naukowego, któremu czasopisma powinny służyć? „Komitety” i „rady” naukowe są na ogół klubem znajomych redaktorów czasopisma, a tym samym są czystą fikcją. Dlaczego prof. Szaciłowski i Spóraniak nie demaskują tego poważnego nadużycia, które ma powszechny zasięg?

Pojawia się pytanie, jaki jest sens publikowania w językach obcych efektów badań naukowych, na które pieniądze łoży polski podatnik. Są dziedziny, w których może to mieć sens, ale jaki sens ma publikowanie badań w językach obcych np. w teologii. Teologia jest jeszcze nauką we Włoszech (w dużym stopniu ze względu na uczelnie „papieskie”), w Polsce i Stanach Zjednoczonych, chociaż tam dominują studia biblijne ze względu na tradycje protestanckie. Trochę teologii jest jeszcze w Hiszpanii. W innych krajach autentyczna teologia katolicka jest w stanie szczątkowym, szukając swego miejsca w ramach systemu nauk. Zresztą, Francuzi czytają tylko Francuzów, Niemcy Niemców, Hiszpanie Hiszpanów, Włosi Włochów itd. Dzieje się tak nie tylko w teologii. By się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć do publikacji teologicznych, przyglądając się zawartym w nich przypisom. Podobnie jest w wielu innych dziedzinach, ale by się o tym przekonać, trzeba po prostu czytać.

Moje wątpliwości budzi także kwestia recenzowania. Przykłady absurdów można by mnożyć. Mój przyjaciel, znakomity chemik, zgłosił artykuł w czasopiśmie. Krytyczny recenzent zalecił redakcji, aby go odrzuciła, ponieważ autor nie zna najważniejszych publikacji na temat, którym się zajął, i wymienił przykładowo kilka artykułów. Wszystkie napisał autor artykułu. Recenzent nie zorientował się, kto jest autorem artykułu przekazanego do recenzji. Mój przyjaciel stwierdził: „Teraz już wiem, że trzeba cytować

także siebie, chociaż zawsze uczono mnie, że to nieprzystojne”. Miałem odwrotną sytuację – zacytowałem siebie, a recenzent napisał, że proponowanym artykułem „robię reklamę swoim pracom”.

Uważam, że na pewno należy odrzucić potrzebę recenzentów na poziomie autora profesora, a może nawet doktora habilitowanego. Recenzować należy na poziomie doktorów czy doktorantów, aby dobrze zapowiadającym się ludziom faktycznie pomagać w ich rozwoju. Najbanalniej można zapytać: Dlaczego ma mi zależeć na tym, by mój konkurent napisał dobry artykuł? Niech sam bierze odpowiedzialność za to, co robi. Krytyka następcza jest o wiele skuteczniejsza, byle nie kończyła się straszeniem sądami za „naruszanie dobrego imienia” z powodu krytycznych uwag demaskujących nieuctwo autora. Takie groźby już przerabiałem po napisaniu recenzji pewnej książki. Przy dzisiejszej sądokracji staje się coraz bardziej możliwe, że sądy będą ferować wyroki także w nauce. Już ochoczo wypowiadają się w sprawie podręczników do historii, jak w przypadku *Historii i teraźniejszości* prof. Wojciecha Roszkowskiego.

Na podstawie omówionych prowokacji i po powołaniu się głównie na opinie ks. Andrzeja Draguły i wyrwaną z kontekstu wypowiedź abpa Stanisława Budzika Sporniak wypowiada się o „stanie teologii” w Polsce. Problem jest bardzo złożony i domaga się ewidentnie czujności, jeśli teologia ma spełniać twórczą rolę w Kościele i w społeczeństwie. Problem trzeba widzieć bardziej realistycznie. Teologia ściśle akademicka ma w Polsce stosunkowo krótki żywot, bo mniej więcej dwudziestoletni. W okresie PRL-u była na marginesie, atakowana przez cenzurę i blokowana ograniczeniami w przydziale papieru (to też trzeba pamiętać). Po 1990 roku musiała w znacznej mierze poświęcić się formacji katechetów. Obecnie szykanuje ją system grantowy. Praktycznie teologia nie może liczyć na żadne wsparcie finansowe. Niektórzy teologowie próbują udowodniać, że ich badania dotyczą kwestii kulturowych, historycznych, społecznych, obyczajowych, ale gdy recenzent zorientuje się, że za wnioskiem stoi jakiś ksiądz, na pewno go odrzuci, bez względu na merytoryczną wartość projektu. Na pewno nigdy takiego wniosku nie złożę, żeby na nim wyżywał się jakiś zakompleksiony pseudouczoney. Niedawno widziałem wniosek o grant, który został zwyczajnie przekreślony, a recenzent skwitował go jednym, zamasyżycie napisanym zdaniem: „Teologia nie jest nauką!”.

W ostatniej części swego paszkwilu Sporniak nawrzucał wiele opinii, które są zwykłymi impertynencjami. W teologii nie obowiązuje więc kryterium płciowe, à propos: „gdzie kobiety?”. Kobiet teologów jest coraz więcej i są aktywne. Od dwudziestu siedmiu lat nauczam teologii i więk-

szość studentek stanowiły kobiety. Do Towarzystwa Teologów Dogmatyków można się zgłaszać – nie znam sytuacji odrzucenia jakiegoś uzasadnionego zgłoszenia. Świeccy mężczyźni są też mile widziani, byle się angażowali. Jedno jest pewne – na teologii kariery ekonomicznej raczej nie da się zrobić, dlatego też z tego powodu nie ma chętnych.

Praca księdza Eligiusza Piotrowskiego na temat zmartwychwstania nie jest aż taka rewelacyjna, jak zostało to przedstawione. Przytoczona pochwała ze strony księdza Adama Bonieckiego, że ksiądz Piotrowski niby pokazał w niej, „na czym polega poważna praca nad biblijnym tekstem”, nie ma pokrycia w faktach, ponieważ nie ma w niej żadnej analizy biblijnej, poza ogólnikową gloryfikacją „egzegezy historyczno-krytycznej”. Ksiądz Boniecki na pewno książki nie przeczytał.

Sporniak przytacza wypowiedź Piotra Popiołka, członka Towarzystwa Teologów Dogmatyków: „Studenci przez pięć lat niemal w ogóle nie są uczeni samodzielnej pracy naukowej, krytycznego myślenia, przeprowadzania kwerend, pisania tekstów naukowych. Słowem, student w ramach samych studiów teologicznych nie uzyskuje żadnego warsztatu ani przygotowania metodologicznego do pracy naukowej”. A czym w takim razie są seminaria, konwersatoria, a także samo pisanie pracy magisterskiej? Studia magisterskie z założenia przygotowują tylko w pewnym zakresie do aktywności naukowej. Magisterium jest stopniem „zawodowym” z definicji, w związku z czym trudno mieć pretensje, że przygotowują także do „zawodu nauczyciela religii”, niewłaściwie nazywanego „katechetą”. Muszę jednak zaznaczyć, że niejednokrotnie także na poziomie magisterskim powstają całkiem poważne prace naukowe. Przygotowaniem do działalności naukowej w sensie ścisłym zajmują się dopiero studia doktoranckie, chociaż nie wszyscy doktorzy podejmują aktywność naukową. Nie ma zresztą takiego obowiązku. Wielka szkoda i poważny błąd, że reforma ministra Jarosława Gowina mocno ograniczyła dostęp do tego stopnia studiów, choć miała służyć rozwojowi nauki i innowacyjności. Nie znam statystyk, ale na podstawie moich doświadczeń zauważam, że tylko co piąty doktor jest w stanie wejść na drogę ściśle naukową, a potem wnieść twórczy wkład do nauki. Po reformie Gowina liczba ludzi zdolnych poświęcić się nauce dramatycznie maleje, a obecne likwidacje instytucji naukowych, szybko wprowadzane przez nową koalicję rządową, jeszcze bardziej będą tę liczbę redukować.

I jeszcze jedno. Jestem księdzem, ale nigdy nie czułem, żeby Urząd Nauczycielski Kościoła w jakiś szczególnie radykalny sposób „egzekwował wierność” albo żebym był „całkowicie życiowo uzależniony” od tegoż

Urzędu. Tym bardziej to podkreślam, że zawsze miałem opinię „chodzącego na granicy”, jak to określił jeden z moich kolegów. Raz tylko cenzor kościelny nie udzielił *nihil obstat* mojej publikacji, ponieważ stwierdził, że jest „za trudna”, co bynajmniej nie należało do jego kompetencji.

Nie mam zamiaru potępiać ani prowokacji prof. Szaciłowskiego, ani reakcji ze strony redakcji czasopism na wykazane im błędy. Nie mogę jednak zgodzić się na to, by opierając się na pojedynczych faktach – które na pewno można by znaleźć w czasopismach z innych dziedzin – twierdzić, że teologia jest nauką „na niby”, i dokonywać jej przekreślenia. Prof. Marek Wroński zgromadził bogate „archiwum nieuczciwości naukowej”, powstające w znacznej mierze na łamach „Forum Akademickiego”, które obnażyło już dawno miernotę etyczną i fachową wielu pracowników nauki. Może dobrze byłoby zastanowić się nad przyszłością nauki w Polsce w świetle doświadczeń dostarczonych przez „konstytucję dla nauki”, w tym także teologii. To jest dzisiaj główne „miejsce”, gdzie należy szukać odpowiedzi na rodzące się pytania o jakość nauki i niszczącą ją korupcję. Na pewno nie można zostawić tej sprawy tylko w rękach polityków, których działania idą ewidentnie w najgorszym z możliwych kierunków.

Co do paszkwilu Sporniaka, to nie wykluczam także, że jest to głos na zamówienie, który ma posłużyć do likwidacji wydziałów teologicznych na uczelniach państwowych. Ogólny klimat, w którym tekst jest napisany, uprawnia do wyciągania takiego właśnie wniosku.